

Tajemnicza wyspa



Juliusz Verne

Juliusz Verne

Tajemnicza wyspa

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Juliusz Verne
„Tajemnicza wyspa”

Copyright © by Juliusz Verne, 1875

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy

Projekt okładki: Adam Brychcy

Druk: A. J. O. Rogosz

Wydawnictwo: Księgarnia Seyfartha i Czajkowskiego

Lwów, 1875

ISBN: 978-83-8119-359-7

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

TOM I

ROZDZIAŁ I.

(Huragan w r. 1865. — Głosy w powietrzu. — Balon porwany trąbą powietrzną. — Powłoka balonu pęka. — Wskróś tylko morze. — Pięciu podróżników. — Co się dzieje w łódce balonu. — Ląd na widnokręgu. — Rozwiązanie dramatu.)

- Podnosimy się?
- Przeciwnie! idziemy w dół!
- Gorzej, panie Cyrus, spadamy!
- Przez Boga! wyrzucić balast!
- To już ostatni worek!
- A co, podnosi się balon?
- Nie!
- Słyszę jakby plusk fal!
- Pod nami morze!
- Nie więcej jak 500 stóp pod nami!

Wówczas potężny głos zagrzmiął w powietrzu:

— Precz z wszelkim ciężarem!... wyrzucić wszystko! i dalej na bożą łaskę!

Takie słowa zabrzmiały w powietrzu, nad nieprzejrzaną pustynią wód Oceanu Spokojnego, około godziny czwartej wieczorem, dnia 23. marca 1865 roku.

Któż nie pamięta owego wściekłego wichru północno-wschodniego, który w owym roku rozszalał się był w sam czas porównania dnia z nocą (aequinoctium) i kiedy barometr spadł do 710 milimetrów?... Był to huragan, który trwał bez przerwy

od 18. do 26. marca. Okropne spustoszenia sprawił w Ameryce, w Europie i Azji, ogarnąwszy całą strefę na 1800 mil szeroką, w kierunku skośnym do równika, od 35. równoleżnika półn. aż do 40. równoleżnika połud.! Miasta poburzone, lasy powyrywane z korzeniem, brzegi pozrywane przez góry wód toczące się wściekłym pędem, okręty na ląd powyrzucane, których na setki liczyły wykazy biura Veritas, całe okolice spustoszone przez trąby, które w swym pochodzie miażdżyły wszystko, tysiące trupów na lądzie, tysiące przez morze pochłoniętych: takie ślady wściekłości swej pozostawił po sobie ów straszliwy orkan. W klęskach przeszedł obydwaj orkany, z których pierwszy 25. października 1810, drugi 26. lipca 1825 spustoszyły tak okropnie Hawanę i Gwadelupę.

Otóż w tej samej chwili, kiedy tak straszne katastrofy dokonywały się na lądzie i na morzu, odgrywał się także we wzburzonych strefach napowietrznych równie groźny dramat.

W istocie balon jakiś niesiony jak piłka na grzbiecie trąby, porwany wirem powietrznym, przelatywał przestrzeń z szybkością 90 mil na godzinę^[1], kręcąc się do koła własnej osi, jak gdyby nim miotał malstrom^[2] powietrzny.

U spodu balonu, przymocowana linami, kołysała się łódka, w której siedziało pięciu podróżników, zaledwie widzialnych wśród tych gęstych wyziewów zmieszanych z cząsteczkami wody, które ciągnęły się aż do samej płaszczyzny oceanu.

Skądże się wziął ten balon, ta igraszka straszliwej burzy? Z którego końca świata wyleciał? Niepodobieństwem ażeby się to stało podczas trwania orkanu. Huragan zaś trwał już od pięciu dni a pierwsze jego objawy rozpoczęły się 18. marca. Możliwym więc było sądzić, że balon przychodził z bardzo daleka,

gdyż w ciągu 24 godzin musiał przelecieć co najmniej przestrzeni 2000 mil.

W każdym razie podróżni nie mogli posiadać sposobu obliczenia przestrzeni, przebytej od chwili swego wyjazdu, brakowało im bowiem do tego wszelkiego punktu porównawczego i wszelkiej podstawy obliczenia. Co więcej, rzecz dziwna! nie czuli nawet gwałtowności burzy, która nimi miotła. Nie czuli ani wiru, który kręcił nimi, ani pędu w kierunku poziomym! Nie byli w stanie przeniknąć wzrokiem tej gęstej mgły kłębiącej się pod nimi. Dokoła nie widzieli nic prócz mgły. Tak gęste były chmury, że nie podobna im było rozróżnić, czy to dzień, czyli noc. Ani promień światła, ani gwar żaden z ziemi, ani szum oceanu nie mógł do nich dolecieć, w tę ciemną głuchą nieskończoność, dopóki w wyższych unosili się strefach. Dopiero nagłe spadanie balonu poświadomiło ich o niebezpieczeństwie, jakie im gotowały huczące pod nimi bałwany morskie.

Tymczasem balon wypróżniony z ciężących przedmiotów, jak amunicja, broń i zapasy żywności, wzniósł się znowu w wyższe pokłady atmosfery, do wysokości 4500 stóp. Podróżni, przeświadczony się, że mają pod sobą morze i wiedząc, że mniejsze niebezpieczeństwo grozi im u góry niżeli w dole, bez wahania wyrzucali z łódki najpotrzebniejsze przedmioty, ażeby tylko nic nie utracić z gazu, tej duszy balonu, która ich unosiła po nad otchłanią morską.

Noc upłynęła wśród ciągłego niepokoju, który byłby w stanie o śmierć przyprawić ludzi obdarzonych mniejszym hartem i siłą ducha. Wreszcie zaświtał dzień a z brzaskiem jego huragan zdawał się tracić nieco na gwałtowności. W dniu tym 24. marca

ukazywały się niektóre objawy przesilenia burzy. Ze świtem chmury bardziej pęczkowe powracały napowrót w wyższe regiony niebios. Po kilku godzinach trąba powietrzna wydeła się i pękła. Huragan zmienił się w silny wicher, czyli prąd pokładów atmosferycznych zmniejszył się o połowę. Był to jeszcze, jak powiadają marynarze francuscy „une brise a trois ris”, niemniej przeto zamęt żywiołów uspokoił się znacznie.

Okolo godziny jedenastej powietrze oczyściło się widocznie w wyższych swych pokładach. Atmosfera wydzielala ze siebie ową wilgoć przezroczystą, którą widać a nawet czuć po przejściu każdego wielkiego meteoru. Nieprawdopodobnem było, ażeby huragan posunął się tylko dalej ku zachodowi, zdawało się raczej że zdusił się sam w sobie. Być może że rozplynał się cały w kaskadzie elektrycznej, po pęknięciu trąby, jak to się wydarza czasem przy trąbach szalejących po oceanie indyjskim.

Lecz w tym samym czasie dało się czuć także na nowo zniżanie się balonu, powolne lecz ustawiczne, ku niższym pokładom powietrza. Zdawało się nawet, że balon zwolna opada i że powłoka jego rozszerzając się coraz bardziej, przechodzi z kształtu kulistego w owalny.

Okolo południa balon wznosił się już tylko 2000 stóp nad powierzchnią morza. Cała objętość jego wynosiła 50.000 stóp kubicznych i dzięki swej tęgości mógł się być długi czas utrzymywać w powietrzu, bądź wzbijając się wysoko, bądź też pędząc w kierunku poziomym.

W tej chwili wynosili podróżni ostatki żywności obciążające jeszcze łódkę, chowając tylko po kieszeniach niektóre drobniejsze narzędzia, a jeden z nich, wspiąwszy się na obręcz,

gdzie się zbiegały liny sieci balonowej,^[3] usiłował przymocować silniej dolny przyrząd balonu.

Widocznem było że podróżni nie mogli już dłużej podtrzymać balonu w górnych strefach i że brakło im gazu!

Zguba ich więc była niechybną!

Jak daleko sięgał ich wzrok nie widać było ani lądu ani żadnej wyspy. Na całej przestrzeni nie było ani jednego punktu stałego, ani kawałka ziemi, gdzieby mogli wyrzucić kotwicę.

Dokoła nie było nic, jak tylko nieskończone morze, którego bałwany łamały się z nieporównaną jeszcze gwałtownością. Ocean bezgraniczny, którego krańców nie mogli dostrzedz, pomimo że z wysokości swej obejmowali dokoła wzrokiem 40 milową przestrzeń! Była to wilgotna płaszczyna, którą bił i chłostał niemiłosiernie huragan. Morze wydawało się jak stado rozhukanych rumaków ze śnieżystemi grzywami... Ani płątka ziemi na widnokręgu, ani jednego okrętu!

Potrzeba więc było wszelkimi sposobami powstrzymać spadanie balonu, ażeby nie pochłonęły go fale morskie. Widocznie pracowali nad tem podróżnicy w łódce. Lecz pomimo ich usiłowań, balon spadał coraz niżej a jednocześnie posuwał się z olbrzymią szybkością w kierunku, w którą wiał wicher, t. j. z północno-wschodniego a w południowo-zachodnim.

Okropne było położenie tych nieszczęsnych! Snać nie byli już więcej panami balonu. Usiłowania ich były bezskuteczne. Powłoka balonu opadała i kłęsała coraz bardziej. Gaz ulatywał a nie było sposobu powstrzymać go. Spadanie przyspieszało się widocznie, a około południa łódka oddaloną już była tylko na 600 stóp od powierzchni oceanu.

W istocie niepodobna było zapobiedz ulatywaniu gazu, który

wolno wymykał się przez szparę w powłoce balonowej.

Wypróżniając łódkę stopniowo ze wszystkich znajdujących się w niej przedmiotów, mogli byli podróżni jeszcze przez kilka godzin utrzymać się w powietrzu. Lecz tym sposobem zdołanoby opóźnić tylko nieuniknioną katastrofę, a jeśliby z zapadnięciem nocy nie ukazał się jaki ląd, podróżni wraz z łódką i balonem musieliby zginąć w morzu.

Ostatniego sposobu, jaki im jeszcze pozostał, spróbowali w tej chwili. Podróżni byli snąc ludźmi niepospolitego męstwa, co umieją patrzeć śmierci w oczy. Ani jedno słowo szemrania ni skargi nie wyrwało się z ust żadnego. Byli zdecydowani walczyć do ostatniej chwili i użyć wszelkich sposobów dla spóźnienia swej zguby. Co się tyczy łódki, był to rodzaj kosza plecionego z łoży, niesposobnego do pływania i nie było możliwości utrzymania jej na powierzchni fal skoro by w nie wpadła.

O godzinie drugiej balon wznosił się już zaledwie na 400 stóp nad morzem.

W tej chwili odezwał się głos mężczy — głos człowieka, którego serce nie zna trwogi. Głosowi temu odpowiedziały inne niemniej męzne głosy.

— Wszystko już wyrzucone?

— Nie, jest jeszcze 10.000 franków w złocie.

W tej chwili wpadł w morze ciężki worek.

— Podnosi się balon?

— Trochę, lecz wkrótce spadnie napowrót!

— Czy jest co jeszcze do wyrzucenia?

— Nic!

— Jakto? a łódka?

— Uczepmy się sieci! i do morza z łódką!

Był to w istocie ostatni jeszcze środek ulżenia balonowi. Odcięto sznury przymocowujące łódkę do obręcza i balon wzniósł się w górę do wysokości 2000 stóp.

Pięciu podróżnych wspięło się po sznurach na wierzch obręcza i uczepiwszy się sieci spoglądali w przepaść.

Wiadomo nam jak wielką czułość statyczną posiadają balony. Dość wyrzucić najlżejszy przedmiot, ażeby wywołać ruch w kierunku pionowym. Balon unoszący się w powietrzu, jest tem samem czem waga o matematycznej dokładności. Łatwo więc pojąć, że odjąwszy mu znaczny stosunkowo ciężar, pęd jego w górę będzie wielki i raptowny. To samo stało się teraz.

Lecz pokółysawszy się zaledwie przez chwilę w wyższych strefach, balon począł napowrót spadać. Gaz ulatywał wciąż przez szparę, którą niepodobna było naprawić.

Podróżni uczynili wszystko co było w ich mocy. Odtąd żaden już środek ludzki nie mógł ich ocalić. Nie mogli już więcej liczyć na nic, jak tylko na pomoc bożą.

O godzinie czwartej balon oddalony był jeszcze tylko 500 stóp od powierzchni morza.

W tej chwili dało się słyszeć głośnie szczekanie. Pies towarzyszył podróżnym, tuż obok swego pana uczepiony w sieci balonowej.

— Top! coś zobaczył? — zawołał jeden z podróżnych.

Po chwili zawołał silny głos:

— Ziemia! ziemia!

Balon pędzony ustawicznie wichrem w kierunku południowo-wschodnim, przeleciał od świtu znaczną przestrzeń, setki mil,

i w istocie w kierunku rzezonym ukazał się dość wyniosły kawałek ziemi.

Lecz ziemia ta oddaloną była jeszcze o mil 30 pod wiatr. Potrzeba było najmniej dobrej godziny, ażeby do niej przybić i to w tym tylko razie, jeśliby nie nastąpiło żadne zboczenie. Całej godziny! Ale czy pierwiej nie uleci reszta gazu, która jeszcze pozostała w balonie?

Oto było straszne pytanie! Podróżni widzieli wyraźnie przed sobą ów punkt stały, do którego bądź co bądź należało przybić koniecznie. Nie wiedzieli co to było, ląd stały czy też wyspa, zaledwie wiedzieli w jaką stronę świata zagnał ich orkan! Lecz czy to ziemia zamieszkała czy nie, czy gościnnie ich przyjmie czy nie — byle tylko dostać się do niej!...

O godzinie czwartej widocznem było, że balon dłużej już utrzymać się nie był w stanie. W przelocie muskał sobą powierzchnię morza. Już grzbiety olbrzymich fal zmoczyły kilkakrotnie spód sieci, ociążając ją tym sposobem jeszcze bardziej, a balon podnosił się już tylko w połowie, jak ptak z przestrzelonem skrzydłem.

W pół godziny potem ziemia była już tylko o milę oddaloną, lecz balon, wycieńczony, opadły, rozdęty i pofałdowany, zawierał jeszcze tylko odrobinę gazu w górnej swej części. Podróżni uczepieni w sieci ciężyli mu już zanadto i wkrótce do połowy pogrążeni w morzu wystawieni byli na wściekłość morskich bałwanów. Powłoka balonu wydeła się jak olbrzymia kieszeń półkólista, a wiatr dmąc w nią z tyłu pędził balon niby okręt po morzu. Może w ten sposób dobije do lądu!

Oddalenie od ziemi wynosiło już tylko około 240 sążni, gdy w tem krzyk straszliwy wydobył się naraz z czterech piersi.

Balon, który jak się zdawało, więcej już podnieść się nie mógł, popchnięty naraz gwałtownie przez morskie bałwany, podniósł się niespodziewanie w górę. Jak gdyby w tej chwili pozbył się nowej części swojego ładunku, wzniósł się do wysokości 500 stóp, i tam napotkał rodzaj powietrznego wiru, który zamiast popędzić go ku brzegowi, popchnął go w kierunku prawie równoległym. Wreszcie we dwie minuty później zbliżył się do brzegu w kierunku skośnym i upadł na piasek nadbrzeżny, w miejscu gdzie już nie sięgały fale morskie.

Podróżni pomagając sobie nawzajem wywikłali się z sieci. Balon pozbywszy się reszty ciężaru popędził dalej z wiatrem, jak ptak raniony, który na chwilę odzyskał życie — i znikł w przestrzeni.

W łódce było pięciu podróżnych i pies, a balon wyrzucił na brzeg tylko czterech.

Jeden z podróżnych musiał spać zostać porwanym przez ów bałwan, który uderzył w sieć i to zapewne sprawiło, że balon pozbywszy się części swego ciężaru, wzniósł się raz jeszcze, a w kilka minut później upadł na brzegu.

Zaledwie czterej rozbitki — słusznie należy im się ta nazwa — dotknęli stopą lądu, gdy w tem, postrzegłszy stratę towarzysza, zawołali jakby z jednej piersi:

— Może usiłuje dostać się w pław! Na ratunek, na ratunek!

ROZDZIAŁ II.

(Epizod z wojny amerykańskiej r. 1865. — Inżynier Cyrus Smith. — Gedeon Spilett. — Murzyn Nab. — Pencroff marynarz. — Młody Harbert. — Niespodziewany projekt. — Schadzka

o godzinie dziesiątej wieczorem. — Wyjazd wśród burzy.)

Ludzie, których orkan wyrzucił na to wybrzeże, nie byli ani aeronautami z zawodu, ani miłośnikami wypraw napowietrznych. Byli to jeńcy wojenni, którzy natchnieni odwagą umknęli z niewoli wśród okoliczności nadzwyczajnych i wyjątkowych. Sto razy wystawieni byli na śmierć niechybną! Sto razy powinien był balon pęknięty pogrążyć ich w otchłań morską! Ale niebo ocaliło ich na cele nieznanne, i umknąwszy z miasta Richmond, obleżonego przez wojska generała Ulyssesa Granta, znaleźli się nagle 20. marca o siedm tysięcy mil oddalonymi od stolicy Wirginji, najgłówniejszej twierdzy separatystów, podczas straszliwej wojny amerykańskiej r. 1865. Żegluga ich napowietrzna trwała dni pięć.

Ucieczka tych jeńców, zakończona wyż opisaną katastrofą, przysła do skutku wśród następujących dziwnych i ciekawych okoliczności.

Tegoż samego roku 1865 w lutym, podczas jednej z owych bezowocnych wypraw przedsięwziętych przez generała Granta w celu opanowania Richmondu, kilku z jego oficerów dostawszy się do niewoli, zostało uwięzionymi w temże mieście. Jeden z nich, wyszczególniający się pomiędzy innymi i należący do sztabu wojsk sfederowanych, zwał się Cyrus Smith.

Cyrus Smith, rodem z Massachussets, był inżynierem, mężem pierwszorzędnej nauki; rząd federalny poruczył mu w czasie wojny nadzór i kierownictwo nad kolejami żelaznymi, którym przypadło tak ważne zadanie strategiczne. Był to typ Amerykanina północnego, chudy, kościsty, sucherlawy, liczył około 45 lat, miał włosy i zarost krótko podstrzyżone i już szpakowate, i nosił tylko pełny, gęsty wąs. Głowa jego piękna

i pełna wyrazu była z rzędu t. z. „numizmatycznych”, które zdają się być stworzone na to, ażeby figurować na medalach; posiadał oczy ogniste, wyraz ust surowy i poważny i twarz taką, jaką posiadają zazwyczaj uczeni wojskowi. Był to jeden z tych inżynierów, którzy chcieli rozpocząć swój zawód od młotka i kilofa^[4], podobni owym bohaterom, którzy rozpoczynali swoją karierę wojskową od prostego żołnierza. Genjalność umysłu łączył z niepospolitą zręcznością mechaniczną. Ramię jego odznaczało się rzadką jędrnością mięśni. Był on prawdziwym mężem czynu zarówno jak i człowiekiem myślącym, działał bez natężenia, party żywą przedsiębiorczością swego ducha, i energiczną wytrwałością, gotową stanąć do walki z wszelkimi przeciwnościami. Obok głębokich i wszechstronnych wiadomości, posiadał wielką praktyczność, był to, jak powiadają, człowiek, który wszędzie i zawsze „da sobie radę”. Miał usposobienie godne pozazdrosczenia. W każdej okoliczności był zawsze panem siebie i łączył w sobie w najwyższym stopniu owe trzy warunki wszelkiej energii: rzutkość umysłu i ciała, gwałtowność żądz i potęgę woli. Mógł słusznie powiedzieć że hasło jego było to samo, co Wilhelma z Oranji w XVII. wieku: „Do działania nie trzeba mi nadziei, ani powodzenia do wytrwania”.

Cyrus Smith był zarazem wcielonem męstwem. Brał udział we wszystkich bitwach wojny secesjonistów z unjonistami. Wstąpiwszy najpierw w szeregi ochotnicze unionistów pod wodzą generała Granta, walczył pod Paducah, Belmont, Pittsburg-Landing, przy oblężeniu Koryntu, pod Port-Gibson, nad Czarną Rzeką, pod Chatta-Noga, pod Wilderness, zawsze mężnie jak żołnierz godny swojego generała, który zwykł był

mawiać: „nie liczę nigdy moich trupów!” I sto razy powinien był Cyrus Smith znaleźć się w liczbie tych, których „nie liczył” groźny Grant, ale we wszystkich tych walkach, pomimo że wcale się nie oszczędzał, sprzyjało mu szczęście, aż do chwili, kiedy ranny dostał się do niewoli w bitwie pod Richmondem.

Przy tej samej sposobności i tego samego dnia, co Cyrus Smith, wpadł w niewolę południowców także drugi znakomity człowiek. Był nim nikt inny, jak czcigodny Gedeon Spilett, „korespondent” dziennika New-York-Herald, wysłany do śledzenia przebiegu wojny wśród wojsk armji północnej.

Gedeon Spilett należał do rzędu owych godnych podziwu korespondentów pism angielskich i amerykańskich, z rodzaju takich Stanley’ów i jemu podobnych, którzy nie cofną się przed niczem, gdy chodzi o uzyskanie wiadomości wiernych i prawdziwych i doniesienie takowych swemu dziennikowi w jaknajkrótszej osnowie. Dzienniki Unji amerykańskiej, tego rodzaju co New-York-Herald stanowią prawdziwe potęgi a wysłannicy ich są osobistościami, z którymi liczyć się musi każdy. Gedeon Spilett był jednym z takich wysłanników pierwszorzędnego stopnia.

Był to mąż wielkich zasług, energiczny, zręczny, gotów na wszystko, pełny pomysłów, bywalec który przebiegł świat cały, żołnierz i artysta zarazem, skory do rady, raźny w czynie, nie dbały na trudy, ani na mokoły ani niebezpieczeństwa, gdy szło o to, ażeby się o wszystkim dowiedzieć, naprzód dla siebie a potem dla swego dziennika, prawdziwy bohater w ciekawości, w wywiadach, we wszystkim, co nieznanie, niewiadome, niemożliwe, jeden z tych nieustraszonych spostrzegaczy, którzy piszą spokojnie wśród gradu kul, spisują „notatki” wśród

kartaczy, dla których każde niebezpieczeństwo jest „pożądaną okazją”.

I on też brał udział we wszystkich bitwach, zawsze na przedzie, z rewolwerem w jednej ręce, z notatkami w drugiej, a wśród huku armat nie zadrżał mu ołówek w ręku. Nie trudził nigdy napróżno drutów telegraficznych, jak to czynią ci, którzy mówią wtedy gdy nic nie mają do powiedzenia, ale każda jego wiadomość krótka, treściwa i jasna, rzucała nowe światło na jakąś ważną okoliczność. Zresztą nie brakło mu nigdy ani dobrego humoru ani konceptu. On to podczas bitwy nad Czarną Rzeką, aby nie stracić pierwszego miejsca przy kratkach biura telegraficznego, i mózdz najpierw donieść swojemu dziennikowi o wyniku bitwy, telegrafował przez całe dwie godziny pierwsze rozdziały biblji. Koncept ten kosztował New-York-Herald’a dwa tysiące dolarów, ale za to New-York-Herald miał pierwszy wiadomość.

Gedeon Spilett był wzrostu słusznego. Liczył najwięcej lat czterdzieści. Blond faworyty wpadające w kolor rudawy okalały twarz jego. Wzrok miał łagodny, szybki, bystry, latający. Był to wzrok człowieka jednym rzutem ogarniającego wszystkie szczegóły na widnokręgu. Będąc silnie zbudowany, zahartował się pod wpływem rozmaitych klimatów, jak sztaba stalowa w zimnej wodzie.

Gedeon Spilett piastował już od lat dziesięciu urząd korespondenta New-York-Herald’a wzbogacając to pismo swojemi doniesieniami i rysunkami, równie bowiem zręcznie władał ołówkiem jak piórem. W chwili, gdy został wzięty do niewoli pracował właśnie nad opisem i zdjęciem planu bitwy. Ostatnie słowa nakreślone w jego notatkach były: „Jeden

z południowców bierze mnie na cel i...” I chybił Gedeona Spiletta, który, swoim zwyczajem, i z tych opatów wyszedł zupełnie bez szwanku.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett, znani sobie nawzajem chyba z reputacji, zostali obaj odwiezieni do Richmond. Inżynier ozdrowiał szybko ze swej rany i właśnie w czasie swej rekonwalescencji zapoznał się z korespondentem. Ci dwaj ludzie podobali się sobie nawzajem i powzięli dla siebie szacunek. Wkrótce ożywiła ich obu jedna tylko myśl, jeden cel: wydobyć się z niewoli, połączyć się z armją Granta i walczyć nadal w jego szeregach za jedność federalną.

Obaj Amerykanie postanowili zatem korzystać z każdej sposobności do ucieczki; lecz chociażby im nawet pozostawiono zupełną wolność w obrębie samego miasta, to jednak Richmond tak ściśle strzeżony był dokoła, że ucieczka musiała się wydać każdemu istnem niepodobieństwem.

W tym stanie rzeczy przybył Cyrusowi niespodziewanie nowy sprzymierzeniec w osobie sługi, który duszą i ciałem był mu oddany. Tym zuchem był pewien murzyn, zrodzony w posiadłościach inżyniera, z ojca i matki niewolników któremu jednak Cyrus Smith hołdując rozumem i sercem zasadzie zniesienia niewoli, od dawna darował był wolność. Niewolnik, choć wolność uzyskał, nie chciał mimo to porzucić swego pana. Kochał go tak, że z radością byłby dał życie za niego. Był to chłopak lat trzydziestu, dziarski, obrotny, zręczny, intelegentny, łagodny i spokojny, czasem naiwny, zawsze uśmiechnięty, usłużny i poczciwy. Zwał się Nabuchodonozor, lubił jednak żeby nań wołano skróconym i poufałym sposobem: „Nab”.

Otóż Nab, dowiedziawszy się że pan jego dostał się do

niewoli, bezzwłocznie opuścił Massachussets, przybył pod Richmond i tu postępem i zręcznością, naraziwszy swe życie najmniej dwadzieścia razy, potrafił wcisnąć się do oblężonego miasta. Chcieć opisać obopólną radość Cyrusa, gdy ujrzał niespodzianie wiernego sługę, i Naba, gdy odszukał swego pana, byłoby niepodobieństwem.

Lecz chociaż udało się Nabowi wkroczyć do Richmondu, to jednak o wiele trudniej było wydobyć się ztamtąd, gdyż jeńców federalnych bacznie strzyżono okiem. Tylko nadzwyczajny jakiś wypadek mógł nastręczyć sposobność do ucieczki połączoną z pewnem prawdopodobieństwem powodzenia, a sposobność taka nie tylko nie przychodziła sama ale i sprowadzić ją było nie łatwo.

Tymczasem Grant nie zaprzestawał swych strategicznych operacji. Zwycięstwo pod Petersburgiem drogo go kosztowało. Siły jego połączone z siłami Butlera nie osiągnęły dotychczas pod Richmond żadnego rezultatu i nic nie zapowiadało naszym jeńcom bliskiego wyswobodzenia. Korespondent, któremu nudna ta niewola nie nastręczała żadnych ciekawych szczegółów dla jego notatek, nie mógł już dłużej wytrzymać. Jedna myśl opanowała go całego! bądź co bądź wydobyć się z Richmond. Kilkakrotnie nawet próbował szczęścia, lecz każdym razem wstrzymywały go nieprzełamane trudności.

Tymczasem oblężenie trwało dalej, i jeśli jeńcy nasi wzdychali tylko do tego, ażeby ucieczką połączyć się z armją Granta, to i między oblężonemi byli tacy, którzy niemniej radzi by byli wydobyć się z miasta, ażeby połączyć się z armją separatystów, a między tymi niejaki Jonatan Forster, zapalony południowiec. I w istocie tak samo jeńcy federalni jak i federaliści nie mogli

opuścić miasta opasanego w kole przez armją północną. Gubernator Richmondu od dawna już nie mógł się znośić z generałem Lee a rzeczą najwyższej wagi było zawiadomić tegoż o położeniu w jakim znajdowało się miasto, ażeby przyspieszyć odsiecz. Otóż wyż pomieniony Jonatan Forster wpadł był na myśl wzbić się w powietrze balonem, przelecieć tym sposobem linje wojsk oblężonych i dostać się do obozu separatystów.

Gubernator zezwolił na ten projekt. Sporządzono balon i oddano go do dyspozycji Jonatana Forstera, któremu pięciu innych jeszcze zuchów miało towarzyszyć w tej napowietrznej wyprawie. Balon zaopatrzone bronią, na wypadek gdyby lądując byli zmuszeni bronić się i żywnością, na wypadek, gdyby ich podróż napowietrzna miała się nieco przedłużyć.

Czas wyjazdu naznaczono na dzień 18go marca. Miało się to stać w nocy, przy średnim wietrze północno-zachodnim, a aeronauci spodziewali się w kilka godzin przybyć do kwatery generała Lee.

Lecz ten wiatr północno-zachodni nie był wcale zwyczajnym wiatrem. Już od 18. marca uważano, że się zmienia w orkan. Wkrótce burza wzmogła się do tego stopnia, że wyjazd Forstera musiał być odroczonym, niepodobna bowiem było narażać balon i jego załogę na wściekłość rozpasanych żywiołów.

Balon, napełniony gazem, czekał na głównym placu miejskim, gotów odlecieć każdej chwili, gdyby się wicher nieco uspokoił a całe miasto niecierpliwiło się, widząc, że stan powietrza nie zmienia się wcale.

Upłynął 18 i 19 marca a burza nie uspakajała się ani na chwilę. Z trudnością nawet zdołano ochronić od zniszczenia

balon, przymocowany do ziemi, którym wiatry morskie wściekle targały.

Minęła noc z 19 na 20 marca, ale nad ranem orkan z większą jeszcze wybuchnął wściekłością. Wyjazd był niemożliwy.

Dnia tego zaczepił Cyrusa Smitha na jednej z ulic Richmondu człowiek jakiś zupełnie mu nieznany. Był to marynarz, nazwiskiem Pencroff, w wieku od 35 do 40 lat, silnie zbudowany, mocno ogorzały, z żywemi, ustawicznie mrugającymi oczyma, ale z poczciwym wyrazem twarzy. Ten Pencroff był z urodzenia północnym Amerykaninem, przepłynął wszystkie morza na całej kuli ziemskiej i doznał najdziwniejszych przygód, jakie kiedykolwiek spotkać mogą istotę dwunożną bez pierza. Nie potrzeba dodawać, że była to natura w wysokim stopniu przedsiębiorcza, gotowa na wszystko, a której nigdy nic nie zdołało wprawić w zdziwienie. Pencroff na początku owego roku udał się był do Richmond w interesach, w towarzystwie młodego chłopca, nazwiskiem Harbert Brown, rodem z New-Iersey, syna swojego kapitana sieroty, którego kochał jak własnego syna. Nie mogąc wyjechać przed rozpoczęciem oblężenia, ujrzał się nagle zamkniętym w mieście, ku wielkiemu swemu niezadowoleniu i w tem położeniu przepełniała go także całego ta jedna myśl: wymknąć się jakim bądź sposobem. Inżyniera Cyrusa Smitha znał ze słychu. Wiedział jak niecierpliwie ten śmiały człowiek targał więzy swojej niewoli. Otóż dnia tego postanowił porozumieć się z nim i spotkawszy go zagadnął bez wstępu:

— Jakże, panie Smith, czy sprzykszyło się już panu bardzo w Richmond?

Inżynier zmierzył bystro człowieka, który tak do niego

przemówił, a ten zniżając głos, dodał:

— Panie Smith, chcesz pan uciekać?

— A kiedy? — zapytał żywo inżynier i można słusznie twierdzić, że odpowiedź ta wymknęła mu się mimowoli, gdyż nie wybadał jeszcze człowieka, który przemówił do niego.

Lecz zmierzwszy wzrokiem przenikliwym dobroduszną postać marynarza, nie wątpił więcej że ma do czynienia z poczciwym człowiekiem.

— Kto pan jesteś? zapytał krótko.

Pencroff wyjawiał mu swoje nazwisko.

— Dobrze, odparł Cyrus Smith, lecz jakież sposób ucieczki?

— Tym balonem, co tam wisi gnuśnie i wydaje mi się, jak gdyby na nas czekał umyślnie!..

Marynarz nie potrzebował kończyć zdania. Inżynier zrozumiał wszystko z pierwszego słowa. Chwytał Pencroffa pod ramię i zabrał go ze sobą do swego mieszkania.

Tam marynarz rozwinął cały swój projekt w istocie nader prosty. Narażało się tylko życie... a zresztą nic. Prawda, że orkan szalał z największą gwałtownością, ale taki zręczny i śmiały inżynier, jak Cyrus Smith, potrafiłby przecież kierować balonem. Gdyby on znał tę sztukę, on sam, Pencroff, ani chwili by się nie wahał puścić się w drogę — rozumie się z Harbertem. Nie takie on widział burze i nic sobie z żadnej nie robił!

Cyrus Smith słuchał marynarza w milczeniu, ale wzrok jego pałał. Trafiła się więc sposobność, a Cyrus Smith nie zwykł był opuszczać podobnej. Projekt był wprawdzie bardzo niebezpieczny, mimo to był wykonalny. W nocy, pomimo najczulszej straży, można było podkraść się pod balon,

wślizgnąć do łódki, a potem odciąć liny, które go do ziemi wiązały. Prawda że można zostać zabitym, lecz może się także i udać, a gdyby nie ta burza... Lecz gdyby nie ta burza, balon byłby już odleciał, a tak gorąco oczekiwana sposobność do ucieczki byłaby się w tej chwili nie trafiała!

— Nie jestem sam!... rzekł kończąc swe rozmyślenia Cyrus Smith.

— Ileż osób chcesz pan zabrać ze sobą? zapytał marynarz.

— Dwie: mego przyjaciela Spiletta i sługę Naba.

— Razem trzy — odparł Pencroff — a ze mną i z Harbertem pięć. Balon miał zabrać sześć...

— Więc jedziemy! — rzekł Cyrus Smith.

To słówko „my” dotyczyło się także korespondenta, ale korespondent nie należał do ludzi, którzy cofają się od podobnych przedsięwzięć i zaledwie mu ten projekt przedłożono, przystał od razu bez namysłu. Co go dziwiło, to że myśl taka prosta jemu samemu nie przyszła dotąd do głowy. Co się tyczy Naba, to ten szedł wszędzie, dokąd się panu jego podobało.

— A zatem dziś w wieczór, rzekł Pencroff. Będziemy się przechadzać wszyscy pięciu w tamtej stronie, niby z ciekawości.

— Dziś w wieczór, o godzinie dziesiątej — odparł Cyrus Smith — i dałby Bóg, ażeby się ta burza nie uspokoiła przed naszym wyjazdem!

Pencroff pożegnał inżyniera i powrócił do swego pomieszkania, gdzie zostawił młodego Harberta Brown. Ten śmiały chłopczyna znał plan marynarza i nie bez pewnego niespokoju oczekiwał rezultatu konferencji z inżynierem. Jak

więc widzimy, było to pięciu ludzi śmiałych i gotowych na wszystko, którzy postanowili puścić się na losy burzy, wśród wyjącego z pełnej piersi orkanu!

Nie! Huragan nie uspakajał się wcale, i ani Jonatanowi Forsterowi ani towarzyszom jego nie mogło przyjść do głowy narażać się na wściekłość jego w tak kruchej łódce! Dzień był okropny. Inżynier jednego się tylko obawiał, t. j. ażeby balon przymocowany do ziemi a targany wichrem nie pękł w tysiąc kawałków. Przez kilka godzin wałęsał się po placu prawie pustym, nie spuszczać z oka balonu. Tosamo robił Pencroff z przeciwnej strony, z rękami w kieszeniach, poziewając od czasu do czasu, jak człowiek, który nie wie czem zabić nudny czas — lecz także powątpiewał, czy balon nie pęknie lub czy nie zerwie swych więzów i nie uleci w powietrze.

Nadszedł wieczór. Noc była bardzo ciemna. Gęste wyziewy niby chmury unosiły się ponad ziemią. Padał deszcz ze śniegiem i zimno było przenikliwe. Rodzaj mgły ciężkiej zawisł nad Richmondem. Zdawało się, jakoby burza stała się chwilową rozjemczynią między oblężonymi a oblegającymi i że armaty zawstydzone milczały w obec straszliwych ryków orkanu. Ulice były puste. Zdawało się nawet zbyt cicho podczas tak okropnej burzy strzedz placu miejskiego, w pośrodku którego uwiązany do ziemi rozpaczliwie szamotał się balon. Wszystko śnać sprzyjało ucieczce jeńców, ależ ta jazda napowietrzna wśród rozhukanych wichrów....

— Przebrzydła chlapawica! — rzekł Pencroff, uderzając z góry pięścią w kapelusz, który wichler zrywał mu z głowy. — Ale ba! przecież postawimy na swoim!

O godzinie w pół do dziesiątej Cyrus Smith i towarzysze jego

z rozmaitych stron podkradli się chyłkiem aż na sam plac, pogrążony w zupełnej ciemności, ponieważ oświetlające go lampy gazowe pogasły wszystkie od wiatru. Nie widać było nawet olbrzymiego balonu, który wicher przygniótł aż do samej ziemi. Oprócz worków z balastem złożonych w sieci sznurowej balonu, łódka przytwierdzoną była osobno za pomocą potężnej liny przewleczonej przez kółko utwierdzone w bruku kamiennym, której drugi w dwójnasób złożony koniec przymocowany był do krawędzi łódki.

Jeńcy spotkali się przy łódce. Nikt ich nie spostrzegł, a nawet tak było ciemno, że sami siebie nie widzieli.

W głębokim milczeniu Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Nab i Harbert wsiedli do łódki, podczas gdy Pencroff na rozkaz inżyniera zdejmował po jednym worki z balastem. Trwało to chwil kilka, poczem marynarz zajął miejsce w łódce obok swoich towarzyszków.

Balon przytrzymała jeszcze tylko w dwójnasób złożona lina, a Cyrus Smith miał już tylko wydać rozkaz wyjazdu.

Wtem pies jakiś jednym susem wskoczył do łódki. Był to Top, pies inżyniera, który urwawszy się z łańcucha, pobiegł za swoim panem. Cyrus Smith, obawiając się zwiększenia ciężaru, chciał odpędzić biedne zwierzę

— Ba, jeden więcej! rzekł Pencroff i wyrzucił z łódki dwa worki z balastem.

Następnie popuścił linę i balon wzniósł się do góry w kierunku ukośnym i znikł w obłokach, potrąciwszy wpierw łudką o dwa kominy, które rozwalił w szalonym swym pędzie.

Orkan rozszalał się wówczas z wściekłą gwałtownością. Dopóki noc trwała, niepodobieństwem było spuszczać się na dół,

a gdy dzień zaświtał, gęste mgły zakryły pod niemi ziemię.

W pięć dni później, gdy się rozjaśniło powietrze, ujrzeli nieprzejrzone morze pod sobą, a wicher pędził balon z przerażającą szybkością.

Widzieliśmy w poprzednim rozdziale, jakim sposobem z tych pięciu ludzi, którzy 20. marca opuścili Richmond, dnia 24. marca wyrzuconych zostało czterech na puste wybrzeże, sześć tysięcy mil oddalone od ich rodzinnego kraju.^[5]

A tym, którego stracili, na którego ratunek pospieszyli natychmiast czterej ocaleni rozbitki, był ich przewodźca, inżynier Cyrus Smith!...

ROZDZIAŁ III.

(Godzina piąta w wieczór. — Stracony towarzysz. — Rozpacz Naba. — Poszukiwania w północnej stronie. — Wysepka. — Noc pełna strapienia i udręczeń. — Mgła poranna — Wyprawa Naba wpływ przez morze. — Obraz ziemi. — Przez kanał w bród.)

Sieć przedarła się była pod Cyrusem Smithem i uderzający bałwan morski porwał go ze sobą. Z nim razem zniknął także pies jego. Wierne to zwierzę dobrowolnie rzuciło się w morze na pomoc swojemu panu.

— Dalej, naprzód! zawołał korespondent.

I wszyscy czterej, jak byli, Gedeon Spilett, Harbert, Pencroff i Nab, niepomni własnego znużenia i trudów, rozpoczęli poszukiwania.

Biedny Nab płakał z wściekłości i z rozpaczki zarazem, na myśl, że utraci wszystko co kochał na świecie.

Między chwilą, kiedy Cyrus Smith zniknął, a chwilą, w której towarzysze jego wyrzuceni zostali na ląd, nie upłynęło więcej jak dwie minuty. Można się więc było spodziewać przyjść jeszcze na czas z pomocą.

- Szukajmy go, szukajmy go! krzyczał Nab.
- Dobrze, Nab, odparł Gedeon Spilett, i znajdziemy go!
- Przy życiu?
- Przy życiu!
- A umie pływać? zawołał Pencroff.
- Umie! odparł Nab, a zresztą Top jest przy nim!

Marynarz, słysząc wściekły ryk morza, pokiwał tylko głową!

Inżynier wpadł w morze na północ od wybrzeża, około pół mili od miejsca, w którym wyrzuceni zostali nasi rozbitki. Najbliższy zatem punkt wybrzeża, do którego mógłby dopłynąć, odległy był co najwyżej pół mili.

Była wówczas mniej więcej godzina szósta z wieczora. Mgła podniosła się z oceanu i ciemniejszą jeszcze uczyniła noc. Rozbitki skierowali swe kroki północnym brzegiem lądu, na który los ich wyrzucił, lądu zupełnie nieznanego, którego nawet położenia geograficznego domyślać się nie mogli. Pod nogami mieli grunt piaszczysty, zmieszany z kamykami i pozbawiony, jak się zdawało, wszelkiej roślinności. Grunt ten, nader nierówny i chropowaty, poprzerzynany był tu i owdzie małymi rozpadlinami, które niezmiernie utrudniały pochód. Z tych dołów zrywały się co chwila duże jakieś ptaki ciężkiego lotu, których ciemność nie dozwalała rozpoznać. Inne, szybsze i mniejsze, wzlatywały stadami jak chmury. Marynarzowi zdawało się, że poznaje w nich mewy i drobniejsze ptactwo morskie, którego

przeraźliwe ostre krzyki zagłuszały nawet szum oceanu.

Od czasu do czasu rozbitki nasi zatrzymywali się i wołali z całych sił, wyężdżając słuch, czy też od strony morza nie odezwie się głos jaki. Przypuszczali słusznie, że zbliżywszy się do miejsca, w którym Cyrus Smith mógł być wypłynąć, w razie, gdyby on sam nie był w stanie dać znać o sobie, oczekiwanie Topa doszłoby ich ucha. Lecz żaden głos nie dał się słyszeć wśród ponurego grzmotu łamiących się o brzegi fal morskich. Wtedy drużyna nasza podążyła dalej, przeszukując po drodze wszystkie najmniejsze zakręty nadbrzeża.

Po 20 minutach marszu, wstrzymała nagle pochód naszych rozbitków granica spienionych fal morskich. Nie było dalej lądu. Znaleźli się na samym krańcu języka ziemi, o którego podnóże łamały się z wściekłością bałwany.

— To przyłodek, rzekł marynarz. Zwróćmy się w prawo i tym sposobem dotrzemy do lądu stałego.

— Lecz jeśli on tam jest! odparł Nab, wskazując na ocean, którego olbrzymie fale bieleły w zmroku.

— Więc wołajmy na niego!

I wszyscy czterej, łącząc razem swe glosy, wydali grzmiący okrzyk — żadnej odpowiedzi. Wyczekali chwili, w której morze jakby tchu nabierając — przycichło — i ponowili okrzyk — ale napróżno!

Wówczas zwrócili swe kroki w przeciwną stronę przyłodka, po gruncie jednakowo piaszczystym i kamienistym. Pencroff jednak zauważył, że brzegi były bardziej urwiste, że grunt się zwolna podnosił — i przypuszczał, że łączy swą przydłużoną nieco pochyłością wyniosły ląd, którego ciężkie kształty rysowały się niewyraźnie w cieniach zmroku. Mniej było ptactwa w tej stronie

wybrzeża. I morze zdawało się być mniej wzburzonym, mniej hałaśliwym i nawet prąd fal widocznie o wiele zwolnił. Ze ledwie słychać było jak łamały się o brzegi. Ta strona przylądku tworzyła snąc małą zatokę półkolistą, którą ów język zasłaniał przed działaniem pełnego morza.

Lecz idąc dalej w tym kierunku południowym, oddalano się tylko coraz bardziej od tej strony wybrzeża, gdzie Cyrus Smith prawdopodobnie mógł być wypłynąć. Po półtorej mili drogi nie napotkali jeszcze takiego zakrętu, któryby im dozwolił zwrócić się znowu na północ. Zdawało się jednak, że przylądek ten z tej strony którą szli, musiał gdzieś przytykać do stałego lądu. Rozbitki, jakkolwiek znużeni i wycieńczeni na siłach, dążyli mężnie naprzód, w nadziei znalezienia się co chwila na skrócie, który ich zawróci napowrót w dawnym kierunku.

Lecz jakież było ich rozczarowanie, gdy po dwóch milach drogi zaleźli się naraz na dość wyniosłym, śliskim, skalistym szczycie, a przed sobą ujrzeli morze!

— Jesteśmy na jakiejś wyspie! rzekł Pencroff, i zeszliśmy ją od końca do końca!

Marynarz miał słuszność. Rozbitki nasi nie zostali wyrzuceni na ląd stały, ani nawet na wyspę, lecz na malutką wysepkę mającą zaledwie dwie mil długości, której szerokość nie musiała być także bardzo znaczną.

Czyż miałyby ta mała kamienista wysepka pozbawiona wszelkiej roślinności, pusty przytułek kilku ptaków morskich, przytykać do innej większej jakiej wyspy? Trudno to było przypuścić. Podróżni nasi, ujrawszy z łódki ziemię przez mgły, nie zdołali ocenić dostatecznie jej objętości. Lecz Pencroff wprawnym okiem marynarza przenikającym wszelkie ciemności,

zdawał się dostrzegać w tej chwili na zachodzie niewyraźnie kształty jakiegoś górzystego wybrzeża.

Lecz ciemność nie dozwalała rozróżnić do jakiego rodzaju należała ta wysepka, pojedynczych czy też złożonych. Nie podobna było także opuścić jej, gdyż zewsząd oblaną była morzem. Trzeba więc było odłożyć nazajutrz poszukiwania za straconym towarzyszem, który niestety żadnym nawet znakiem nie dał znać o sobie.

— Milczenie Cyrusa niczego nie dowodzi, rzekł korespondent. Może zemdłał, może jest ranny i chwilowo niezdolny dać odpowiedzi, ale nie traćmy nadziei.

Korespondent wpadł zatem na myśl rozpalenia ognia na pewnym punkcie wysepki, który by służył jako sygnał dla Cyrusa. Lecz nigdzie nie można było znaleźć ani drzewa ani suchych krzewów. Wszędzie tylko piasek i kamyki!

Łatwo pojąć żal i boleść Naba i towarzyszy jego którzy żywe przywiązanie powzięli dla nieustraszonego Cyrusa. Aż nadto widocznem było niepodobieństwo niesienia mu w tej chwili pomocy. Potrzeba było oczekiwać dnia. Albo więc Cyrus sam o własnych ocalił się siłach i znalazł już schronienie na jakimś punkcie wybrzeża, albo też stracony był na wieki!

Długie to były i gorzkie godziny. Rozbitki srogich doznawali cierpień, lecz zaledwie je czuli. Nie przyszło im do głowy użyć chwili spoczynku. Myśl o ich przewodzcy nie pozwoliła im pamiętać o sobie; nie tracąc nadziei, a raczej wmawiając ją w siebie, tysiąc razy przebyli tam i nazad całą wysepkę, powracając nieustannie do jej północnego krańca, najbardziej z bliżonego do miejsca gdzie zaszło owo opłakane zdarzenie. Naprzemian to przysłuchując się, to znów wołając, spodziewali

się wciąż usłyszeć wołanie o pomoc, a głos ich musiał sięgać daleko, gdyż spokój jakiś zapanował wówczas w powietrzu, fale się uspokoiły a zarazem i huk ich przycichł.

Raz nawet na krzyk Naba zdawało się że zawtórowało echo. Harbert zwrócił na to uwagę Pencroffa, dodając:

— To dowodzi, że w stronie zachodniej znajduje się ziemia nie bardzo daleko.

Marynarz skinął na to potakująco. Zresztą nie mogły go oczy omylić. Jeśli chociaż niewyraźnie dostrzegł w tej stronie ziemię, to z pewnością była tam ziemia.

Lecz to dalekie echo było jedyną odpowiedzią na krzyk Naba, a całą wschodnią część wysepki zaległa ponura cisza.

Tymczasem zwolna wypogadzało się Niebo. Około północy zamigotało kilka gwiazdek, i gdyby inżynier był przy nich, byłby dostrzegł, że te gwiazdy nie należały już do strefy północnej. Nie było gwiazdy polarnej na tym nowym horyzoncie, konstylacje zenitalne były także różne od tych, jakie się dają spostrzegać na północy nowego świata, a Krzyż południowy jaśniał na południowym biegunie.^[6]

Tak upłynęła noc. Około godz. piątej nad ranem, dnia 25. marca na wierzchołku nieba zarysowały się lekkie półcienie. Widnokrąg pogrążony był jeszcze w ciemności, lecz z pierwszym brzaskiem dnia, podniosła się z morza mgła gęsta tak, że zaledwie na dwadzieścia kroków przed sobą można było dostrzegać przedmioty. Mgła rozwinęła się i zawisła nad ziemią w ciężkich szmatach.

Była to nowa przeszkoda bardzo nie w porę. Rozbitki nie mogli nic rozróżnić w koło siebie. Podczas gdy oczy Naba i korespondenta błądziły po oceanie, marynarz z Harbertem

śledzili za ową ziemią na zachodzie. Lecz ani śladu ziemi nie można było dostrzedz.

— Mniejsza z tem, rzekł Pencroff, chociaż nie widzę ziemi, to ją czuję... ona tam... tam... tak pewnie, jak to, że nie jesteśmy więcej w Richmondzie!

Lecz niebawem mgła zaczęła się rozwiewać. Była ona tylko zapowiednią pogody. Ciepłe promienie słoneczne ogrzały naprzód górne pokłady powietrza a następnie przedarły się do samej powierzchni wysepki.

W istocie, około godziny wpół do siódmej, w trzy kwadransy po wschodzie słońca, mgła zrobiła się przezroczystą. Zgęstniała u góry, lecz zato przerzedziła się u dołu. Niebawem ukazała się oczom rozbitków cała wysepka, jak gdyby wyszła z chmur, następnie półkolem poczęło odsłaniać się morze, niezmiernie ku wschodowi ale zato na zachodzie zarysowało się wyniosłe i urwiste wybrzeże.

Tak! to ziemia! Tam ich zbawienie na jakiś czas przynajmniej! Wysepkę przedzielał od owego wybrzeża kanał na pół mili szeroki, w którym szumiał bystry prąd morski.

Tymczasem jeden z rozbitków idąc wyłącznie za popędem swego serca, rzucił się nagle w prąd morski, nie zasiągnąwszy wprzód nawet zdania towarzyszy, nie rzekłszy ani słowa. Był to Nab. Spieszno mu było dostać się do tego wybrzeża i dopłynąć doń od strony północnej. Nikt by go nie był w stanie zatrzymać. Pencroff wołał za nim, ale napróżno. Korespondent gotował się płynąć za Nabem.

Wówczas Pencroff przystąpiwszy do niego rzekł:

— Chcesz pan przepłynąć ten kanał?

— Tak jest, odparł Gedeon Spilett.

— Więc wierz mi, zaczekaj trochę, rzekł marynarz. Nab wystarczy ażeby nieść pomoc swemu panu. Puściwszy się kanałem, narazilibyśmy się tylko na to, że prąd porwałby nas ze sobą. Otóż, jeżeli się nie mylę, to prąd ten spowodowany jest odpływem morza. Patrz pan, morze widocznie opada. Więc miejmy cierpliwość gdy odpływ ustąpi, uda się nam może przejść w bród.

— Masz pan słuszność, odparł korespondent. Nie rozłączajmy się ze sobą, jak długo się da...

Tymczasem Nab walczył mężnie z prądem wody. Płynął wciąż w kierunku skośnym. Za każdym uderzeniem fali widać było jego czarne barki nad powierzchnią wody. Prąd unosił go wprawdzie z olbrzymią szybkością, lecz jednocześnie przybliżał się wciąż do brzegu. To pół mili, które oddzielało wyspę od ziemi, przepłynął w przeciągu więcej niż pół godziny i wyszedł na brzeg o kilka tysięcy stóp w bok od miejsca przeciwległego punktowi, z którego wypłynął.

Nab wylądował u podnóża stromej ściany granitowej, strzepnął się tego, następnie pobiegł pędem i zniknął wkrótce po za wierzchołkiem skały, sterczącej ponad morzem w tej samej mniej więcej wysokości, co północny kraniec wysepki.

Towarzysze Naba przypatrywali się ze ściśnionem sercem śmiałemu jego zamiarowi a gdy już zniknął im z oczu, przenieśli wzrok swój na ową ziemię, na której chcieli szukać schronienia i przytułku. Zjedli także kilka muszli rozsianych gęsto po piasku — liche to był posiłek, ale zawsze jakiś posiłek.

Przeciwległe wybrzeże tworzyło obszerną zatokę, zakończoną na południe spiczastym językiem, pozbawionym wszelkiej

roślinności, który przedstawiał widok nader ponury i dziki. Język ten łączył się z wybrzeżem w dość fantastycznych zarysach i jak filary zakończone w kabłąk, sterczały z niego olbrzymie skały granitowe. Przeciwnie na północ rozszerzając się, tworzyła zatoka wybrzeże bardziej zaokrąglone, ciągnące się z południowo-zachodniego w północno-wschodnim kierunku a zakończone urwistym, śpiczastym przylądkiem. Odległość pomiędzy tymi dwoma krańcami, o który opierał się łuk zatoki mogła wynosić mil ośm, Wysepka na pół mili od brzegu oddalona, zajmowała szeroki pas morza, podobna do olbrzymiego szkieletu wieloryba. Cała jej szerokość wynosiła ćwierć mili.

Nadbrzeże przed wysepką składało się w pierwszym rzędzie z płaszczyny piaszczystej pokrytej gęsto czarniawymi skałami, które właśnie w tej chwili z opadającego wskutek odpływu morza poczęły z wolna wychylać głowy. Na drugim planie wznosił się rodzaj kurtyny [\[7\]](#) granitowej, ściętej prostopadle, z fantastycznym wierzchołkiem, najmniej 300 stóp wysokiej. Kurtyna ta ciągnęła się na trzy mile długości i kończyła się z prawej strony raptownie ściętym urwiskiem, jak gdyby ręką ludzką wyciosanem. Przeciwnie po lewej stronie przed samym przylądkiem, to strome niekształtne wybrzeże rozdrobione w graniaste bryły, złożone z nagromadzonych odłamów skał i rumowiska, przechodziło z wolna w przydłużną pochyłość, z którą łączyły się urwiska i skały południowego krańca.

Na piaszczystej wyżynie wybrzeża nie było ani jednego drzewa. Był to jakby stół gładki, podobny temu, który się wznosi nad Cape-Town, na przylądku Dobrej Nadziei, tylko mniejszych nieco rozmiarów. Tak przynajmniej wydawało się

patrząc z wysepki. Za to nie brakowało roślinności po prawej stronie, za owym urwiskiem. Łatwo było rozróżnić grupy olbrzymich drzew, ciągnące się jak daleko wzrok sięgał.

Widok tej roślinności rozweselał nieco oko, znużone szorstkimi linjami granitowych ram, które go otaczały.

Na ostatnim wreszcie planie, ponad piaszczystą wyżyną, w kierunku północno-zachodnim w odległości najmniej siedm mil, błyszczał śniegiem okryty szczyt, ozłocony promieniami słońca. Była to czapka śniegu pokrywająca łysinę jakiejś oddalonej góry.

Niepodobna więc było rozstrzygnąć kwestji, czy ziemia, którą widzieli przed sobą, była wyspą, czy też częścią lądu stałego. Lecz patrząc na te skały piętrzące się po lewej stronie, dziwacznie poszarpane i urwiste, każdy geolog byłby niezawodnie przypisał im pochodzenie wulkaniczne, niezaprzeczenie bowiem były wytworem jakiejś podziemnej rewolucji.

Gedeon Spilett, Pencroff i Harbert uważnie przypatrywali się tej ziemi, na której czekał ich może długoletni pobyt a może i śmierć nawet, jeżeli nie leżała przy szlaku, którym zwykły płynąć okręta!

— No, i cóż ty na to, Pencroff? zapytał Harbert.

— Ha cóż, widzę w tem dobre i złe, jak we wszystkim, odparł marynarz. Zresztą obaczymy. Lecz odpływ morza coraz widoczniejszy. Za trzy godziny spróbujemy, czy nie uda się nam przejść na drugi bok, a gdy się już raz tam dostaniemy, będziemy się starali robić co będzie można i odszukać p. Smitha.

Pencroff nie omylił się w swych rachubach. We trzy godziny

później, gdy morze opadło, odkryła się większa część piaszczystej płaszczyny, stanowiącej łożysko kanału. Wysepkę oddzielała już tylko od przeciwnego wybrzeża wąska odnoga, łatwa do przebycia.

W istocie, około godziny dziesiątej, Gedeon Spilett z dwoma towarzyszami, rozebrawszy się i przymocowawszy na głowie zawiniątka z sukniami, rzucili się w odnogę, której głębokość nie wynosiła więcej jak pięć stóp. Harbert, dla którego było zbyt głęboko, płynął jak ryba i trzymał się dzielnie. Wszyscy trzej dostali się bez trudności na drugą stronę. Tam osuszwszy się rychło na słońcu i przywdziawszy napowrót suknie, które udało im się ochronić od zmoczenia złożyli walną naradę.

Przypisy

[1].t. j. 46 metrów na sekundę albo 166 kilometrów na godzinę. (Przyp. autora.)

[2].Malstrom (Moskenstrom) na co nie ma wyrazu francuskiego, a tem mniej polskiego — są to prądy morskie na morzu północnem niedaleko wybrzeża Norwegji, rodzaj wirów, których się bardzo obawiają żeglarze. (Przyp. tłum.)

[3].Balon, jak wiadomo, pokryty jest cały siecią sznurową, służącą częścią dla wzmocnienia go, częścią zaś dla lepszego przymocowania łódki. Sznury tej sieci zbiegają się wszystkie do koła drewnianego obręcza, zwanego „równikiem“ i do spadających stamtąd końców tychże przytwierdzona jest łódka balonowa. (Przyp. tłum.)

[4].Dług żelazny do łupania kamieni.

[5].Dnia 3. kwietnia miasto Richmond popadło w moc generała Granta, powstanie separatystów zostało stłumione, jen. Lee cofnął się ku zachodowi a sprawa jedności amerykańskiej odniosła zwycięstwo i tryumf.

[6].Krzyż Południowy jest taką samą stałą konstelacją nad biegunem południowym, jak Mała Niedźwiedzica z gwiazdą polarną nad biegunem północnym. Przep. tłum.

[7].Kurtyną nazywają przy twierdzach mur łączący ze sobą dwa bastjony. W tem znaczeniu użył autor tego wyrazu w tem porównaniu. (Przep. tłum.)

Koniec Wersji Demonstracyjnej

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa
i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

